Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 16. POZNAŃ, DNIA 17. KWIETNIA. **1843.**

POEZYA.

DO FR. LISZTA. (*)

Kraków, dnia 30. Marca 1843.

Liszcie! cóż ty chcesz zrobić z duszami naszemi?
Grałeś — a gdy twe dźwięki w przestrzeni zabrzmiały,
Widziałem, jak chór niebian zstępował ku ziemi;
Grałeś — a wszystkie nerwy w piersi mojéj drgały.

Cóż znaczą czarodziejskie z pod twych palców dźwięki?
To śpiew ptaków — to smętne serc wzruszonych jęki —
To głos dzwonów — ryk burzy — drzew odwiecznych łomy —
To uragan, co górę w kłęby piasków kruszy —
To z chmur ogniem rozdartych spadające gromy —
Przestań! na tyle wzruszeń mało jednéj duszy.

Zkądeś ty czarowniku? gdyś się na świat zjawił,
Ssałyż twe pierś kobiety usta niemowlęce?
Ja wiem, bo mi głos wyższy twój pochód objawił!
Ciebie anioł muzyki wziął z pieluch na ręce,
I póty twe dzieciństwo pieśniami weselił,
Póty pieścił, aż sam się w postać twoję wcielił.

Patrz, jak ziemię przygniotły nędze i niedole —
Ty, co zwiedzasz z twą lutnią najskromniejsze strzechy,
I z czołem podniesionem wchodzisz między króle —
Zabrzmij ludom dźwiękami niebieskiéj pociechy,
I póty wzbudzaj w sercach miłość i nadzieję,
Aż się dusz harmonia w jedno morze zleje.

Gdy zagrasz — bogacz z gmachów, lud wybiega z chaty:
Ten ci złoto pod nogi, tamten sypie kwiaty.
Ja, co już krócéj ciebie na ziemi pogoszczę,
Gardzę wraz z tobą złotem — kwiatów ci zazdroszczę.
Nim więc tam, gdzie się z tobą zjednoczyć spodziewam,
Ty mi zagrasz na duszy, a ja ci odśpiewam;

Z tysiąca wieńców, co z gmachów i chatek
Sypią się ku twéj ozdobie,
Odłam dla mnie jeden kwiatek,
A z tym wieszcz stary chętnie legnie w grobie.

Fr. Wężyk

(*) Redakcya Tygodnika nie wspomniała nic o pobycie Liszta z dwóch względów: raz, że żałowała, iż go zaprosiła do miasta tak parafiańskiego jak Poznań, a potém, że redaktor od pierwszego uściśnienia się z nim był z nim duchowo na zawsze złączony; a kto się tak z nim uściśnie, kto go tak wskróś pozna, tę *żyjącą poezyą*, ten słów *nie ma* do powiedzenia czém on *jest*. *Młody* entuzyasta! powiedzianoby na redaktora, gdyby w Tygodniku tak wielbił Liszta, jak go w sercu wielbi. Redakcya cieszy się więc, iż udziela czytelnikom wiersz, w latach podeszłych męża. Cóż *młode muzykalne* serce miałoby mówić, kiedy poeta starzec z czującém sercem, tak namiętnie go opiewa! *Przyp. Red.*

Miłość i cyrograf.

(Powieść fantastyczna.)

Dusze proste i pobożne! niech was nie ustrasza dziki tytuł mojéj powiastki; z góry wam ręczę, iż nie jestem potępiony, chociaż tak bliskie miałem zajście ze złym duchem, co więcéj, widziałem go w daleko powabniejszéj postaci, niż wszyscy, którzy twierdzą, że go na własne oczy widzieli. Nie miał on ani owych rogów, wyglądających z pod doktorskiego biretu, ani owych paznokci, ani miny kusego kuglarza, co Twardowskiemu z kieliszka wyskoczył; nic zgoła z owéj karczemnéj fantazyi, owszem było to djable arcy-urocze, arcy-salonowe, które, miasto smoły, trąciło wonią jasminu i fleure d'orange. Otóż jeszcze raz ręczę, nie jestem potępiony, mały tylko skrupuł każe mi się pozbyć i tego ostatniego grzeszku, bo z resztą całe życie moje było wolne od zapędów, które, albo robią wiele hałasu na świecie, albo zaraz jak bańka pękają.

Wyznaję, że dwie tylko miałem wielkie a razem dziecinne namiętności, co nieraz mną do szaleństwa miotały.

Pierwsza z tych namiętności była żądza zostania bohatérem jakiéj historyi fantastycznéj. Z razu chcia-

łem doświadczyć pośmiertnych przygód Gustawa, później takie uniesienia wydały mi się za gwałtowne, za niszczące; zacząłem przenosić owych Ariostowskich rycerzy, którymi opiekowały się dobre wróżki, lecz urodzony pod złą gwiazdą, kiedym mojéj Tytanii nie znalazł, szczególniejsze znalazłem upodobanie w Hoffmanowskich bohatérach przy kuflach pieniącego piwa, w atmosferze tytuniowéj, śród rozpraw mistycznych, śród sylfów i gnomów i dowcipnego *króla pcheł.*

Nie prawdaż czytelnicy moi, że mię potępicie z góry w tym wieku rzeczywistości, za gust tak dziwaczny, lecz jam ostrzegał, że to moja namiętność, wybaczcie.

Druga znowu równie wielka jak dziecinna namiętność, była chęć napisania przed śmiercią coś w guście fantastycznym, coś bardzo cudackiego, bardzo niewinnego, ani z nieba, ani z ziemi; ale i z tego i z owego trochę coś niby w guście powiastek, któremi mamki w młodzieńcze dusze zaszczepiają ów świat czarodziejski, za jakim w późniejszych latach tyle wspomnień, a niekiedy i łez płynie, słowem, przez kilka potomnych pokoleń chciałem powiastką moją bawić dobrze plemię dzieci, o różnych jagodach, żywych oczkach, i opromieniać im chwile spędzone przy abecadle. Co zaś do drugiéj potomności, bladéj, nie znaczącéj, osowiałéj, która w wychudłych palcach trzyma dwa przykurzone wieńce laurowe, klnę się honorem, nigdym nie wzdychał.

Bąć co bąć, trudno mi utaić, jak te dwa rodzaje szaleństwa mocno wpłynęły na moje rzeczywiste życie; ale dałem sobie słowo, muszę być fantastycznym, choćbym miał opowiadać nie stworzone rzeczy, z czasów feudalnych, albo odrysować świat kawefurów paryskich, utworzyć charakter jeden z Han d'Islande, z Tribuletu, z Lukrecyi Borgia, domieszać skeptycyzmu, wszystkie a wszystkie okropności romansów szkoły chorowitéj zlać w jedno i dopiero krzyknąć: wygrałem! oto prawdziwa fantastyczność; ale nie! precz odemnie ta myśl, u nas jeszcze dusza nie pokryła się tak grubą warstwą brudu, aby ją trzeba nacierać aż tak mocnemi i korzennemi maściami, które niczém są w porównaniu zową dryakwią wenecką, wyciągnioną z jadu gadów i ziół trujących.

O nie, nie do takiéj wzdychałem fantastyczności, nie takiéj szukałem w świecie wspomnień moich, kiedy myśl jak wróżka skrzydlata unosiła ją po trawkach, żeglowała po obłokach, i słała sobie łoże na rozkwitnionéj jabłoni. Ach! cóżbym był nie dał za odrobinę fantastyczności, zwłaszcza wtedy, gdym uczył się poznawać prawdę, tego świata, kiedy doświadczenie, jak owa soczewka *peregrinusa* wyjmowała barwy tęczowe z krain mojéj wyobraźni! — O najmniéj byłbym dał dziesięć lat z mego żywota i jeszcze bym wyszedł na kupnie, za spotkanie jakiego sylfa, jakiéj czarodziejki, czarownika, wreszcie jakiéj jasnowidzącéj. Nie daremno w nocy wybiegałem na rozstajne drogi, na mogiły wisielców; zwiedzałem stare zamczyska, pustkowia, biegałem na cmentarzu gdzie się paliły pieniądze, darmo! darmo! nigdzie nie spotkać mi było ani upiora z płomienistym wiankiem, szczękającego łańcuchem, ani czarownicy na łopacie, ani nawet figlarnych chochlików, któreby pod mojém łóżkiem weselne odprawiały gody. Nic z wszystkich zabiegów! bo ręczę, że gdyby coś fantastycznego było, na tysiąc mil do koła byłbym dotarł i zobaczył, ale ręczę, że na złość nie było.

Wątpiłem już powoli, czy jest jaka fantastyczność, i nie wiem, jakby się skończyło z moją wiarą poetycką w świat duchów i cudów czarodziejskich, gdyby pewnego dnia nie przyszła mi myśl dziwaczna i zuchwała wywołać djabła zaklęciem. Było to postanowienie cokolwiek desperackie, ale cóż robić — będąc przez pół jego dłużnikiem, zdublowałem stawkę, starosta, lub chudeusz.

W okresie, do którego niniejsza powieść się odnosi, mocnoby mnie było gniewało, gdyby mię ktoś miał za co lepszego, jak za trzpiota, najpierw, że wtenczas w modzie był taki charakter, podobnie jak dziś sceptycyzm bajroński; powtóre, miła to rzecz zawracać głowę kobietom, które bąć co bąć przepadają za trzpiotami. Zostałem więc trzpiotem. Lecz, aby was moi czytelnicy z góry odwieść od uprzedzeń przeciw trzpiotom, ostrzegam, że w postępowaniu mojém nie było nic takiego, coby trąciło *Lorwelasem* lub *Foblasem.* Jeżeli spodziewacie się znaleść rozpustnika *à bones fortunes*, mocno się zawiedziecie w oczekiwaniu, byłem sobie tylko owym spokojnym najeźdzcą, co wpada do kraju dobréj woli. Z tém wszystkiém w całém mieście uznawano mnie ladaczem, bom otwarcie odgrywał swoją rolę; libertynem, zwodzicielem, bom wszystkich zwodził, co chciało być zwiedzioném. Oto jedna strona mojéj marsowéj twarzy; co do drugiéj śmiem twierdzić, że nikt nie miał głębszych pojęć o składzie towarzystwa, o obyczajach; nikt bystrzéj nie wglądał w tajemnice pod płaszczykiem salonowego poloru i przyjętych ustaw dobrego tonu; co wszystko nie pogodzone z mojém rozstrzepaniem, nie miało nazwy w swoim czasie; dzisiaj

możnaby to ochrzcić mianem rozpusty elektrycznéj, doktryny libertynizmu, lecz szkoda słów na to; co było, nie wróci; — złe czasy! złe czasy!

Z tém wszystkiem był to rodzaj filozofii, mnie tylko właściwéj, którą, aby zrozumieć, potrzeba obok określenia przykład postawić, a i tak się jeszcze boję, czy będę zrozumiany. Związki społeczne umiałem szanować tak dalece, że myśl sama wniesienia niepokoju w niewinne serce, myśl rozwiązania węzła, który łączył najniezgodniejsze humory, sprawiała mi wyobrażenie katuszy czyścowych. Umysł mój zawsze wyżéj sięgał nad to, co mię otaczało, lecz z drugiéj strony nic nie mogło mię powściągnąć do kosztowania owocu, który swój kwiat utracił, i upadł ze swojéj gałązki. Jakże on słodki i smaczny! mówiłem sobie podnosząc go z ziemi, pożywam go bez niczyjéj krzywdy. Słowem, byłem podobny do owych kłosarek, zbierających wszystko, co nie do snopu należy.

Z tego przekonania czerpałem wiele pociechy dla serca i spokojności sumienia.

Sądzę teraz, żem się wytłómaczył, z jakiéj przyczyny napiętnowano mię mianem trzpiota, *per excélenciam*, jako noszącego wszystkie charakterystyczne cechy swojego rodzaju.

Ale dość już tego, tyle nagadałem o sobie pochlebnych rzeczy, że mi aż wstyd coś więcéj powiedzieć To tylko dodam dla dokończenia rysów mego własnego obrazu, że system mój mnóstwo liczył zwolenników między młodzieżą, jednego ze mną wieku; drogą łatwego i nieszkodliwego występku odwracałem ich bardzo często od zbrodni, w nadziei, że nauka moja lepsze na potém wyda owoce i zupełnie ich nawróci. Nie chybiłem w wyrachowaniu, w kilkanaście lat późniéj wzorowi z nich porobili się ludzie, i może jeszcze dziękować kiedyś mi będą, że w wieku młodym nie obarczyli sumienia, co na starość taką jest nagrodą, że każde przypomnienie słodycz przynosi. Aczkolwiek dążność moja tak piękne wydała owoce, wszelako wszystkie lepszego tonu kobiety miały nas w obrzydzeniu!

Pierwszy z moich zwolenników nazywał się Fortunat, wierny mój namiestnik, mój alter ego w wszystkich sprawach serdecznych, gdzie serce najmniéj bywa dotknięte w owych miłosnych intrygach, które lada grzeczność, lada uśmiech kobiety wywoływał, a rozdrażniona wola w nieskończoność mnożyła. Mój Fortunat w rzeczy saméj prześliczny był chłopiec. Jego kształtna postać na wzór dla malarza, wysłowienie się obfite do zawrotu głowy, zarozumiałość starego Doświadczyńskiego, co więcéj, wybornie gry wygrywał wszystkie, a grając, przegrywał zawsze; na koniec jeździł jak Tatar, co przyrosł do siodła, a przecież nie było miesiąca, żeby coś sobie nie złamał; rąbał się jak szlachcic sejmikowy i na pewne wychodził z każdego pojedynku z zawiązaną ręką. Dziedzic dość znacznego majątku, stracił go w kilku miesiącach, — dowód wielkiego rozumu, i znalazł jeszcze takich, u których zaciągał długi, co nierównie większego dowodzi. Słowem, jednogłośnie wołano, kiedy się zjawił na salonie: Fortunat, czarujący chłopiec!— A Fortunatowi piątéj brakowało klapki.

Wyborne wychowanie Fortunata w jednym przecie punkcie zupełnie było zaniedbane, a to w tym właśnie, który u niejednych rutynistów główną podstawę stanowi. Wszak i w słońcu są plamy! Bać przyrodzona niezdolność, bać lenistwo, to jednak pewna, że Fortunat nigdy nie mógł się pisać nauczyć. Zaczynam już wierzyć, że nie czuł żadnéj tego potrzeby, iż pod tą pogardą mógł ukrywać pomysł bardzo filozoficzny. Fortunat gardził ortografią i miał może słuszność. Cóż go obchodziły owe *e* kréskowane i niekréskowane, owe *jota*? co Feliński? co Towarzystwo przyjaciół nauk, co roku nową ogłaszające pisownie?! Fortunat miał swoją własną niewzruszoną, przeciw któréj niby nie podołali wszyscy filologowie, sam nawet Champelion głowę by stracił, gdyby mu było przyszło sylabizować jego hieroglify. Szczęściem, mała ta wada czy zaleta w wychowaniu Fortunata, nie miała złych skutków, większa bowiem część heroin naszych nieumiała czytać, bo inaczéj w nie małym byłby kłopocie. Zdarzały się jednakże trudne okoliczności, gdzie przedmiot wzdychań nowych świeżo wychodził z francuzkiego pensyonu, a w takim razie ja z moją trywialną ortografią w pomoc biegłem Fortunatowi. Chwile, którem poświęcał układaniu miłosnych liścików w jego imieniu, nie były dla mnie stracone, nabyłem bowiem owego lekkiego stylu, owego sposobu mówienia szeroko o niczém.

Niech kto nie myśli, abyśmy uczęszczali w złe towarzystwa, broń Boże! lecz przedmiot naszych zabiegów rzadko nas prowadził w dobre. Wędrownicy, koczujący w zawodzie życia, co wieczór rozbijaliśmy nasz namiot na pograniczu dwóch światów, do których należeliśmy zarówno, do jednego przykuci naszém wychowaniem i nawyknieniem, do drugiego przywabiani wygodną rozkoszą i zwycięztwami bez trudów. Jeźli komu nieznana topografija tych dwóch półświatów, tyle mogę powiedzieć, że punktem zetknięcia się onych był teatr. Za podniesieniem zasłony cały tuzin ócz czarnych lub błękitnych (mówię tu

o chórach w operze) śledził nas w pierwszéj ławce parteru, witając nas słodkiemi wyrzuty, lub łudzącą obietnicą. Częstokroć ukradkowe spojrzenia *prima donny*, czekającéj za kulisami na wezwanie suflera, przypływały aż do nas z gorącemi westchnieniami o wzajemność, czy oklaski? nie wiem, ale oto występuje nasza *Katalani*, rozlewając wszystkie skarby swego słowiczego gardziołka. Szmer pochlebny rozlega się w sali, pierwsi uderzamy w dłonie, a publiczność odpowiada chórom. Pamiętam, pewnego czasu los złowrogi zrobił mię hołdownikiem olbrzymiéj śpiewaczki, która daleko lepiéj by się wydała pod szemerowanym kostiumem jakiego *tamburmajora*, niż w skromnym gorseciku pasterki. Grano jakąś pasterską operę; moja olbrzymia Chloe rzuciwszy na mnie słodkim umizgiem, zaczęła splatać wianek, śpiewając: Dla ciebie wiję te kwiaty!

Oh! rumieniec wstydu oblał mi lice! byłbym ucałował rękę, którąby mi w téj chwili śmierć zadała! tak jéj pieszczoty dręczyły mię czasami, ale cóż, musiałem zgryść ten orzech. Chloe była szpetną i zyzooką, ale dzięki jéj, ona stawiła tarczę mojéj niewinności.

Druga połowa naszego świata mieściła się w lożach. Główną zasadą moralności przez nas przyjętéj było nie patrzeć na loże; co nie przeszkadzało wszakże, abyśmy w nich widzieć nie mogli. W on czas to w loży, która wychodziła na scenę, a tém samém najlepiéj była oświetloną, bo reszta w grubych tonęła ciemnościach, pojawiła się nam często jedna z tych postaci anielskich, co nie jednego pozbawiają spokoju duszy, odsłaniając mu wszystkie rozkosze raju na ziemskiéj pustyni. Nie jestem malarzem, ale jeśli ktokolwiek z was tę sztukę posiada, niech skreśli lat szesnaście kibić trzciny, płeć białą, jedwabną, pod którą krew jak strumyk bieży, włos jasny, rozwiany jak mgła po ramionach; to wszystko niech jeszcze promienieje urokiem czystym niebiańskim, nie podobnym do opisania, rysami, któreby rzeźbiarza Wenecyi medycejskiéj o rozpacz przyprawiły, niechaj wyrazi szerokie, potoczyste spojrzenie, zachwycające jak błękit, a palące jak słońce, a to wszystko nie da jeszcze milijonowego wyobrażenia o doskonałości wdzięków Olesi.

Olesia w bardzo młodocianym wieku straciła ojca i matkę. Biedna sierota została się ze stotysięcznym dochodem, powierzona opiece ciotki, dość powabnéj jeszcze wdówki, która tak nie wiele przeskoczyła, że czwarty krzyżyk, że nawet o tém mówić nie warto, a która bynajmniéj nie obwinioną o nieczułość na wzdychanie serca mocno zakochanego. Dwa lata temu ja sam bardzo szalenie, a nawet nie żartem byłem się rozromansował w ciotuni; kosztowało mię to nie wiem ile chwil rozpaczy, udręczeń, nadziei, lecz szczęściem wszystko skończyło się dość prędko, albowiem namiętność ta obudziła się we mnie na dwa dni przed owym dniem, od którego zaczyna się era moich miłostek filozoficznych.

Od téj chwili ani razu nie postała mi w myśli, a nawet pamięć moja, tak mierna w cytowaniu kodexowych paragrafów, byłaby ją wymazała ze swéj listy, gdyby nie powinowactwo idei, że ciotunia miała tak piękną siostrzenicę. Nie potrzebuję ostrzegać czytelników moich, że wiek i niewinność téj uroczéj dzieciny stawiły między mną i nią nieprzełamaną zaporę, a jeszcze nieprzełamańszą jéj stotysięczny dochód.

„Łamiesz nasze warunki,“ rzekł mi Fortunat jednego wieczora, „Henryku! jak uważam, patrzysz po lożach.“

„„Patrzę,““ odpowiedziałem, „„jak pokutujące duszyczki, które z czyśca ciągle patrzą w niebo, nie odbierając wzajemnego spojrzenia. Z resztą mam swój sposób widzenia i wszystko ci wyznam; czas leci jak szalony, a choć nam się zdaje, że go używamy w wesołych, swobodnych chwilach, i chociaż uchodzimy za przystojnych chłopców, przecież tak żyjąc, możemy się postarzeć, jak siedmiu mędrców greckich. Ty co innego, tobie się uśmiecha przyszłość, spędzona między lubém *farniente* a polowaniem na zające w twojéj dziedzicznéj ziemi, którą stryjaszek po najdłuższém życiu swojém zostawi ci z całém gospodarstwem, chartów gończych, błót, borów i grzybów. Ja zaś, który nie mam w nadziei ani stryja, ani chartów, ani gończych, ani błót i borów, będę najszczęśliwszy, jeżeli znajdę publiczność dość cierpliwą w czytaniu moich powieści. Odkryłem cel mój. Jako autor potrzebuję natchnąć się jakim ideałem, coby zawsze żył w mojém wspomnieniu; marzyć, pieścić, żywić w głębi serca jaką czarodziejkę, którą, jeśli znajdę, schwycić muszę; jakaż zbrodnia, jeśli ją znalazłem?““

„Ach, czy Olesia aż tak cię zajęła?“ rzekł Fortunat, naciskając sprężynę swojéj lornetki i zuchwale topiąc wzrok w tego anioła, przed którym powieka moja podziwem przejęta, nigdy podnieść się nie śmiała. *Elle est vraiment fort bien.* „Dziękuję ci, żeś mię zrobił na nie uważnym. W rzeczy saméj ma coś w sobie, co obudza wyobraźnią, a uspokaja burzę serca; *une Mirtidesse raphaëlesque*, nieprawdaż? Widząc ją, czujesz się czystszym; myśląc o niéj, czu-

jesz się lepszym. O cudowna władzo niewinności! dziwny pociągu dusz pięknych! Niestety, przyjacielu! czemuż ta perła, czemuż ten dyament nie w sklepie modniarek, lub w grupie figurantek! okrutny los wszystko zepsuł, zamykając drogi ten klejnot w karecie, zamiast coby go miał za kulisami pokazać.“

Zadrzałem z oburzenia..... i przekląłem w duchu wszystkie śpiewaczki i kulisy.

„Natchnij się, natchnij Henryku,“ mówił Fortunat, opierając się na mojém ramieniu. „Natchnij się widokiem Olesi, bo kto wie, czy teraz natchnień twoich potrzebować nie będę. Pisz romanse Henryku! bo mój, jeśli się nie mylę, bliski jest szczęśliwego rozwiązania. Stryjaszek przychylne ma dla mnie chęci i wiem z pewnego źródła, że gotów mię zrobić dziedzicem swoich chartów i borów, jeżelibym się ożenił z jaką uczciwą osobą.“

„„„Tyżbyś się ożenił z uczciwą osobą!““ zawołałem, „„„i ty myślisz o ożenieniu?“““

„Cóż w tém dziwnego?“ mówił, zanosząc się do śmiechu. „Czyż sądzisz, żem niezdolny myśleć poważnie i stale coś przedsięwziąść? Ale patrz! jak nasza Aglae dziś źle wygląda, jak i strój nie do twarzy! a jak ryczy nieznośnie!. O Henryku! trzeba już raz skończyć, a skończyć rozumnie, zwłaszcza, kiedy jestem bez grosza. Ty nie wiesz bracie, co to jest mądrość światowa, ale z czasem ty jéj nabędziesz. Czy słyszysz? jaki ton fałszywy! a jakie jesta! Szukaj więc natchnienia Henryku i napisz mi małe oświadczenie, a tylko gorące, a tylko namiętne, szczére; rzuć krótkie wyznanie moich ułomności, mych błędów; wreszcie pisz co się podoba. Dodawaj, ujmuj, obieraj, wygładzaj, boś ty mojém sumieniem, mém sercem; ty wiesz, jaki skarb czułości zamknięty w tém braterskiém łonie, które bije obok twego! Ale patrz! patrz! na tę opętaną Laurę, jak przez cały wieczór ze mnie oka nie spuszcza, i jak ze złości przygryza wargi.... biédna! żal mi cię.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O dziele łacińskiém Walentego z Lublina.

Walenty z Lublina, inaczéj Lubelczyk, był sławnym lekarzem w szesnastym wieku. Podług pana Gąsiorowskiego, (*) wydał cztery dzieła: dwa łacińskie i dwa polskie. Do pierwszych pan G. liczy pismo, którego tytuł, podług Dr. Terleckiego, przytacza: „Opera medica Joannis B. Montagni. Venetiae 1554.“ Mając to dzieło przed sobą, podaję o niém niektóre szczegóły, zwłaszcza, że źródło, z którego pan G. tytuł owego dzieła zacytował, niedokładném być musiało.

Walenty nie wydał wszystkich dzieł Montana, jak z wyżéj wymienionego napisu: „Opera medica Montagni,“ sądzićby wypadało, lecz tylko część jego prelekcyi. Montanus bowiem, czyli Montano, objaśniał aż do r. 1550. w Padwie, wykładami publicznemi, licznem naówczas zebraniem słuchaczów uczęszczanemi, najciekawsze części z dzieła arabskiego Awycenny: „Canon medicum.“ Po śmierci jego r. 1551. niektórzy z jego słuchaczów i inni lekarze zaczęli nie tylko owe prelekcye, błędnie przepisane, wydawać, lecz i własne nieraz płody naukowe niedojrzałe ogłaszać pod przyjętém nazwiskiem Montana. O czém następujące słowa, wyjęte z przedmowy Hermana Boviusa (**) do dzieła Montana, nas przekonywają: „Non desunt scioli et male consiliati homines, qui, ut aliquid gloriolae aucupentur apud quosdam apostatas et conquinelos chirurgos conscribunt tabulas vulgo ab ipsis appellatas solaecismis refertissimas et divisionibus et subdivisionibus falsis plenissimas, et quod gravius, Montano, qui fuit pareas ac deus recte dividenti (di) falso adscribunt.“

Zdaje się, że nadużywanie nazwiska Montana było powodem dla Walentego, byłego ucznia tego lekarza i bawiącego wtedy w Padwie, do poprawniejszego wydania niektórych z owych prelekcyj. To nam podaje chlubne świadectwo o zdolnościach Walentego i zaufaniu, które sobie zjednał, gdy jemu, jako obcemu w Padwie, redakcyą i wydania niektórych dzieł Montana powierzono. Wyszły one w dwóch tomach, pierwszy pod tytułem: „Jo. Baptistae Montani (nie Montagni) medici veronensis, in primam Feu libri primi canonis Avicennae explanato, a Valentino Lublino Polono collecta. Venetiis apud Balthasarem Constantinum 1554. in 8vo,“ dedykowany Stanisławowi Hr. z Tęczyna (w oryginale jest Thenocin), wojewodzie sandomierskiemu, z powodu mianowania jego senatorem przez króla Zygmunta Augusta i dla okazania mu wdzięczności swojéj za wsparcie, za pomocą którego Walenty był w stanie, za granicą, a mianowicie w Padwie, gdzie jeszcze w r. 1554. bawił, przykładać się do nauk lekarskich. Między innémi w owéj dedykacyi Walenty wspomina o dziele, które już dawniéj

(*) Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce przez Ludwika Gąsiorowskiego. Tom I. W Poznaniu 1839. str. 217—218.

(**) Jo. B. Montani in primam Feu etc. Venetiis 1554. Praefatio pag. X.

wydać musiał, lubo żaden autór do tych czas o tém pismie żadnéj wzmianki nie daje. Widać, że była to rozprawa o prognostykach Hippokratesa, jak to słowa Walentego okazują: „Itaque, ut priorem libellum in prognostica Hippocratis sereno vultu, ut audivi, a meis tibi oblatum accepisti, sic quoque etc.“ Rzecz godna wspomnienia, że professor Kühn w Lipsku, najnowszy wydawca dzieł Hippokratesa w historyi literatury, którą na czele tego wydania umieścił (*), przytacza pismo pod Nro. 1143. 3., 4. między kodeksami na bibliotece uniwersytetu lipskiego znajdującemi się, pod tytułem: „Constantini glossae super prognostic. Hippocratis.“ Być może, że tu księgarz, albo drukarz Balthasar Konstantyn, w Wenecyi, u którego Walenty z Lublina, będąc w Padwie, dzieło swoje wydawał, z omyłki uchodzi za autora, podobnie jak to się z książką Siennika przytrafiło, o któréj pan Gąsiorowski (**) nam opowiada: „Około r. 1493. napisał nieznany dotąd światu lekarz dzieło medyczne w polskim języku. Książkę te dał Marcin Siennik drukować w Krakowie r. 1564. in 4to u Łazarza; dla tego miano go powszechnie za autora rzeczonego dzieła, którą to omyłkę dopiero r. 1826. jakiś polski literat odkrył i dowiódł.“

Drugi tom wspomnionego dzieła Walentego wyszedł dwa lata późniéj pod tytułem: „Jo. Baptistae Montani, medici Veronensis, in quartano Feu libri primi canonis Avicennae lectiones collectae, a Valentino Lublino Polono collectae. Venetiis apud Balthasarem Constantinum 1556. in 8vo.“ Tenże tom, którego napis zupełnie się zgadza z napisem pierwszego (wyjąwszy, że tu zamiast słów: „explanatis collecta,“ znajdujemy słowa: „lectiones collectae,“ co jeszcze wyraźniéj okazuje, że dzieło to zawiera zbiór przepisanych prelekcyj), dedykowanym jest księciu Janowi Tarnowskiemu, kasztelanowi krakowskiemu, hetmanowi W. k. p. Rzecz uwagi godna, że imię księcia przez błąd, zdaje się, drukarski, w oryginale pisaném jest: Tharnon. 3. daty téj dedykacyi: „Cracoviae Calendis Augusti 1555.“ pokazuje się, że Walenty z Lublina w tym roku już bawił w Krakowie, a z treści jéj, że książe Jan Tarnowski w tym roku mianowanym został senatorem. Tenże książe często używał był rady i pomocy lekarskiéj Montana. Walenty bowiem w owéj dedykacyi między innemi mówi: Montani lectiones, cujus vivi consilia salutoria saepe expertus et.

W Styczniu 1843. Dr. *Józef Bergson*,
Lek. prakt. w Berlinie.

(*) Hippocratis Opera omnia. ed. Kühn. Lipsiae 1825. T. I. p. LIV.

(**) Zbiór wiadomości etc. str. 110.

Przegląd pism.

Pisma peryodyczne wychodzące w W. Polsce.

(Przez *Julią Woykowską*.)

(*Dalszy ciąg.*)

Życie domowe, familijne, podstawą jest towarzyskiego, z tąd jego wieczne nań działanie i oddziaływanie życia towarzyskiego na domowe. Aby działanie to i oddziaływanie nie było wstrząsającém, gwałtowném, albo też zbyt leniwém, powinno życie domowe z życiem towarzyskiém zostawać zawsze w stósunku harmonijnym o tyle, iżby przedział między nimi konieczny, nie był zawadą postępowi, tak, jak zniknięcie tego przedziału, by nie było rozwiązaniem istoty życia domowego, rodzinnego. Dom jest to forteca, w któréj człowiek pewien być powinien od napaści nieprzyjaciela, w któréj swobodnie, spokojnie zebrać może myśli; — życie po za domowe, towarzyskie, jest to wojna, jest to zdobywanie ciągłe w krainie myśli, wiedzy. Gdy żołnierz opuszcza fortecę, by pójść szukać zdobyczy, pozostawić musi w domu stróży dla bezpieczeństwa. Stróżowie ci przekonani jednak być muszą o celu dobrym żołnierza, inaczéj lada nieprzyjaciel przekupi ich, namówi i użyje do swych celów. Na tego stróża, stróża anioła rodzinnego ogniska, przeznaczoną jest kobieta; powinna ona, aby nie być stróżem bezużytecznym, a co gorzéj, szkodliwym, niweczącym cele drugiéj połowy wojującéj ludzkości, rozumieć jéj dążności. Przeznaczona do życia domowego kobieta, powinna rozumieć męża przeznaczonego do życia towarzyskiego, inaczéj między nią a mężem będzie rozejm wieczny, będą to dwie istoty idące obok siebie z potrzeby codziennéj, będą to dwa ciała, dwa serca, dwie dusze, *bez jedności*. Co tu *w szczególności*, dzieje się *w ogóle*, gdzie jest stósunek zwichniony między życiem domowém a towarzyskiém. Dysharmonia ta, jak w ogóle wszędzie, mianowicie u nas mocno uczuć się daje, skutkiem wyżéj wymienionych przez nas przyczyn wychowania naszych kobiet. Wychowanie to niedokładne, jednostronne, ladajakie, jedném słowem: przyczyną owéj bezduszności w życiu naszém domowém, bo reprezentantki jego są to albo modne damy salonowe, rozprawiające o życiu, jak o kapeluszu, czépku, lub t. podobnéj rzeczy, alboli też trochę uczeńsze sentymentalne sroczki, które, jeżeli nie w romansach, to miłują się i rozpływają *w nadziemskich* sentymentach, z wielką ujmą dla *ziemi*, na któréj potrzeba żony mężowi, matki dzieciom,

opiekuna cierpiącym i zaniedbanym. Te, które wychowane nie religijnie, ale światowo, są jeżeli nie maryonetkami, to filozofkami bardzo nudnego rodzaju, bo w ogóle nie do twarzy rozumowania filozoficzne niewieście, a w życiu praktycznem, gdy sięgają po za okres prostego naturalnego rozumowania, są nierównie szkodliwsze od wymarzonych na firmamencie niebieskim gwiazdach, księżycach, słońcu, czy w oczach kochanka etc. ideałów; — wychowane zaś religijnie w znaczeniu, jakie zwykliśmy nadawać temu wyrazowi, są to pietystki, alboli też, jeźli weźmiem najdoskonalsze z nich figury, choć poetyczne częstokroć, a w ogóle jako jednostki, (zapatrując się na nie ze stanowiska ich wychowania) osoby często szanowne, ale niezdolne, aby być żonami, matkami pokolenia, myśl poważaną w łonie swém wyrabiać mającego, bo zasada ich religii odstraszającą od życia jest. Od tych ogólnych reguł są wprawdzie wyjątki, lecz tych liczba bardzo mała w stósunku. Po największéj więc części wpływ życia domowego na towarzyskie jest tu albo słaby, nijaki, albo szkodliwy, a tak i na odwrot koniecznie być musi. Jedném przeto z zadań głównych naszego czasu jest zaprowadzenie koniecznie tu potrzebnéj harmonii, przez nadanie życiu domowemu, bez wstrząsania jego podwalin, zasady ożywczéj, z duchem postępowym czasu godzić się dającéj. Ku temu celowi rozebraćby nasamprzód potrzeba wszystek znajdujący się u nas żywioł, zaczém łatwo nam będzie postąpić daléj. Mimo bowiem wszelkich wykazanych niedoskonałości i niedostatków, znajduje się u nas w życiu domowém element silny, a wielce przydatny — *wiara* — wiara chociaż zwichniona, ale przeto jednak wiara prezumować dająca prostotę ducha, myśl nie zawichrzoną fałszywém rozumowaniem. Ten żywioł chodować, oczyszczać z przesądu, a zatém przezeń kierować niewiastę, jest to środek, przez który potrafim najlepiéj a nawet jedynie, nie pozbawiając jéj idealnéj, koniecznie niewieście potrzebnéj piękności, uroku nadziemskiego, myśli wynoszącéj ją po nad padół, a czyniącéj ją nieśmiertelną; uczynić ją zarazem praktyczną, zdolną działać tu na ziemi, względnie do czasowéj potrzeby. Otóż, dla czego dzisiaj główną zasadą religii, mającéj być podstawą jéj wychowania, powinna być nie tylko tolerancya wszelkiego zdania, ale przekonanie, że postęp w krainie wiedzy, myśli, zawsze konieczny, zgodny jest z myślą Boga, którego ona nosi w sercu; że Bóg ten, który pojawia się w tylu różnorodnych formach i myślach, najszczytniéj pojawia się w owym postępie myśli. — Obok tego zaszczepmy w jéj serce przekonanie, że jak jedna połowa rodzaju ludzkiego, przeznaczona do walki, rozumem zdobywać powinna, druga uczuciem winna utrzymać równowagę w rodzaju ludzkim; że jedno bez drugiego obejść się nie może, — a nadamy jéj uczucie pewnéj godności w okresie, do którego przeznaczona, w którym jedynie piękną, boską, idealną razem i użyteczną, niebiańską razem i ziemską, być może najłatwiéj niewiasta; a za który bez poczucia powołania szczególnego, bez poczucia sił po temu, wychodzić nie będzie — skoro w okresie tym znajdzie i pole obszerne do działania, do zasługi, a zarazem znajdzie i zaspokojenie w uczuciu, że spełniła powinność swą, wedle swego przeznaczenia, sił i możności. — Znajdzieli się geniusz, który, jak nie ma ojczyzny, tak nie zna granic, przełamie on wszelką zaporę, wyjdzie po za okres, opuści wszelką regułę, niechże toruje sobie drogę, niech idzie! Nad wyjątkami tego rodzaju nie tu miejsce się zastanawiać, leży to po za okresem pisma, które tylko dla ogółu, dla całości, reguły zawierać powinno.

W sposób ten powinno pismo, życiu domowemu poświęcone, starać się natchnąć toż życie zasadą istotnie żywotną; to głównem jego powinno być zadaniem. Druga zaś część jego zawierać powinna gruntowne rozbiory powinności i rozbiory oznaczenia zatrudnień domowych i gospodarskich w różnych stósunkach; wszelkie w tym względzie ulepszenia, ułatwienia, odkrycia, ze szczególną oględnością na potrzeby krajowe, plany do zaprowadzenia różnych instytucyj, zawiązania towarzystw, mających na celu ulepszenie stanu biednych, zaniedbanych, cierpiących, mianowicie dając im sposób do życia, do utrzymania, do ulepszenia losu, do możności stania się członkami użytecznymi towarzystwu, pielęgnując ich i wpływając na moralne ich wykształcenie. Jest to missya szczególnie poruczona kobiecie, za któréj niewypełnienie odpowiadać winna nie tylko przed trybunałem sumienia, ale i opinii. Dlatego to koniecznem, aby wykorzenić owo mazgajowate, arystokratyczne miłosierdzie, śmieszne a nie pocieszne i szkodliwe heroiny poświęcenia etc. rodzące, i wykrzywiające wszelką poważniejszą i godniejszą dążność towarzystwa, ku obudzeniu w każdéj jednostce uczucia własnéj godności; a postawić na tém miejscu poważną, świętą, wzniosłą powinność z surowém a jasném jak niebo obliczem, z dłonią pełną sprawiedliwości i rozsądnego a nie głupiego pobłażania. Do téj części mianowicie wpływaćby mogły kobiety obeznane z duchem czasu. Doświadczenia, ich spostrzeżenia i działania, nie małoby się przyczyniły do pomnożenia dostatków narodowych

przez gospodarstwo dobre domowe, do rozwinięcia uczucia godności w klassach spółeczeństwa mniéj oświeconych, do natchnienia ich duchem powinności, do otrząśnienia zabobonów przez obmyślenie najłatwiejszych i najprostszych środków oświaty, do umniejszenia tylu różnorodnych cierpień przez poznanie ich i zapobieżenie im u źródła, do umniejszenia tysiąca hańbiących ludzkość błędów, z zaniedbania i moralnego i fizycznego tych nieszczęśliwych pochodzących, za których to moralność i powodzenie odpowiedzieć w czasie przed trybunałem sumienia publicznego przyjdzie każdemu, ktokolwiek tu miał winę. — Część ta równie konieczną i ważną jest w pismie dla kobiet poświęconém, jak pierwsza; owa rozumnie *czuć i myśleć*, ta rozsądnie *działać* uczyć je powinna.

Otóż zakres, w jakim działać i w jaki sposób działać powinien Dziennik domowemu życiu poświęcony, a teraz zobaczymy, co tymczasem robi Dziennik poznański. Pierwsze roczniki jego są to bezsystematycznie, bez tendencyi bladym atramentem pisane, i powieści i wyciągi, czyli tłómaczenie z pism innych, — odznacza się tu jedynie artykuł: „O moralności dla kobiet,“ przez Tańską, a i ten i zbyt rozwlekły i nie odpowiedni potrzebom czasowym. Późniéj coraz daléj począł Dziennik ten powoli, powoli wychodzić z dzieciństwa, a z radością jako dobre przepowiednie witaliśmy w niém już jakiśkolwiek kolor mające powieści Siemieńskiego, niektóre Goszczyńskiego, mianowicie zaś piękne artykuły Libelta, traktujące gruntownie, śmiało, wybitnie, stylem jasnym, pełnym, a cudnie wymownym, rzeczy w zakres dziennika wchodzące. Zdawało się, że odtąd pismo to choć niezmiernie powoli, poczyna wchodzić na pewną jakąś drogę, że pocznie być powoli systematycznèm, kiedy oto Dziennik domowy wywrócił nagle koziołka i przeleciał na przeciwną całkiem stronę. Zamiast obrabiania rzeczy w zakres jego wchodzących, zapowiedział on rozbiory stósunków socyalnych, krytykę i t. p. rzeczy, a ze smutkiem widzimy kierunek, jakiegośmy się spodziewali, całkiem zwichniony na wielką niekorzyść pisma tego. Nie dość bowiem, że droga obrana jest fałszywą, ale i środki liche, rozbiory bowiem, któreśmy dotąd czytali, są, pominąwszy wstęp, którego mimo najlepszéj chęci zrozumieć nam było niepodobno, obrazkami oddanemi niedokładnie stylem trywialnym i rażącym, koloru ni takiego ni owakiego. To samo dzieje się z krytyką, która jak bladą i nijaką będzie, zapowiada krytyka Parafiańszczyzny, o któréj słusznie mówi szanowny autór tegóż dzieła, że „nie śmierdzi, nie pachnie, że krytyk gani i chwali, sam nie wie czemu,“ bo nie zna się na rzeczy, o któréj mówi. Krytyka powinna być stawieniem dowodów, czcze słowa są czczym dźwiękiem, są plewą nieużyteczną. Słabszą od téj części jest jeszcze część druga Dziennika: „Rozmaitości.“ Jest to mieszanina bez ładu i składu, stósowna do jakiego lichego mód żurnalu, ale nie do Dziennika w jakiéj zasadzie wychodzić mającego. — Otóż, czém jest dotąd Dziennik domowy poznański. Spodziewamy się jednak, że spostrzeże on się w krótce, a mając pomoc tylu zdatnych pisarzy, przez wytknięcie pewnéj drogi, wskaże wszystkim i cel jeden, przez co zostanie pismem mającém dążność systematyczną. Jest czego życzyć sobie najgoręcéj, bo potrzeba wielka! Wiele przyczynić do jéj zaspokojenia mogłyby się mianowicie nasze kobiety, gdyby zaniedbując żurnali francuzkich, kształcąc się w polskim języku i badając potrzeby narodowe — wzięły się z zamiłowaniem do czytania bąć jakiego, bąć Dziennika polskiego, a poznawszy jego niedokładność, starały się przez swe spostrzeżenia prostować jego kierunek. Również utalentowani nasi pisarze, obeznani z wychowaniem i życiem domowém, powinni obrócić się w tę stronę, aby zaradzać niedostatkowi tak szkodliwemu. Wszakże powinnością jest świętą, każdego zdatnego i dobrze myślącego, pracować nad tém i przyczyniać się do nadania kierunku prostego, zdrowego, rozumnego, téj połowie ludzkości przeznaczonéj na przewodniczkę przyszłego pokolenia, na żonę i córę teraźniejszego, na anioła towarzyszącego z miłości ku niemu, człowiekowi, w pielgrzymce trudnéj życia, a przeto godnego osiągnięcia z nim razem wielkiego celu, który Bóg wytknął ludzkości. Wszakże nakoniec dysharmonia między życiem domowém i towarzyskiém jest to rozejm między sercem i głową, pociągający za sobą tysiąc tysięcy zgubnych skutków, rozwijanie się proste lub zwichnione jednego i drugiego, od harmonii między nimi zależy, a więc praca na tém polu, jedną z najkonieczniejszych, z najniezbędniejszych jest potrzeb naszych.

Orędownik. Krytyka pisma tego, zgodna z mém przekonaniem, znajduje się w bieżącym roczniku Tygodnika w artykule „Korrespondencya.“ Dopełnienie jéj treściwe znajdzie czytelnik w artykule: „O pismach peryodycznych,“ w 2giém półroczu Tygodnika roku przeszłego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

